

się znalazł z powrotem w Saint-Mande? W pensjonacie pani Donay? Spojrzałem raz jeszcze uważniej przez okna i przekonałem się, że byłem w jakimś nieznanym mi domu.

Ale w jaki sposób dostałem się tutaj? Co się stało z Wiliame Tharpsem i Huxleyem? Czy również wydostali się z pokoju, gdzie zostaliśmy zamknięci?

Pamiętałem tylko, że w pewnej chwili straciłem przytomność i nic nie wiedziałem z tego, co nastąpiło dalej. O faktach zaś poprzedzających moje omdlenie przypominałem sobie z trudem, czując jeszcze jakąś dziwną próżnię w mózgu.

Coś jednak nadzwyczajnego stać się musiało, skoro wolny i swobodny znajdowałem się w tym sympatycznie umeblowanym pokoju — zdala od naszych przeciwników i wszelkiego niebezpieczeństwa. Zapewne pomoc oczekiwana przez Tharpsa nareszcie nadejść musiała i dopomogła do uwolnienia nas wszystkich.

Po chwili zacząłem się bacznie przyglądać pokojowi, w którym leżałem. Urządzenie jego było nadzwyczajnie staranne i efektowne. Meble stylowe, pokryte ciężkim wytłaczanym pluszem, ściany przyozdobione cennymi malowidłami, a na filigranowych etazerkach pełno cacek wykwintnych i książek w kosztownej oprawie. Powstałem powtórnie z łóżka, obejrzałem tytuły tych dzieł nęcących mnie już zdaleka i wydałem mimowolny okrzyk zdumienia.

Były najwidoczniej przygotowane do mojego osobistego użytku, gdyż po największej części traktowały o przedmiotach interesujących mnie szczególnie w zakresie obranego przeze mnie fachu: rozprawy prawne, odczyty, studia nad kryminalistyką nowoczesną, dokumenta ciekawe i tak dalej.

Pod oknem na stoliku zauważyłem pióra, kalamary, kartki przygotowane i zachęcające do pisania.

Ten ostatni szczegół wydał mi się jakimś ironicznym wyzwaniem. Czy miałem spisywać wrażenia tej przekłętą awantury, w którą weszliśmy razem z Tharpsem. Przy łóżku zaś na fotelu leżało rozłożone starannie ubranie, które pozostawiłem dnia poprzedniego w gabinecie mojego przyjaciela — zamieniając je na charakterystyczny kostium apasza.

Nie dziwiąc się już niczemu, bo obecność moja tutaj ogłuszyła mnie zupełnie — ubrałem się w nie flegmatycznie, oczekując dalszego ciągu tej tajemniczej historii. Ciekawość mnie jednak męczyła, aby rozpoznać lepiej otoczenie, w którym się znajdowałem.

Usiłowałem otworzyć okno, ale mi to się w żaden sposób nie udało. Zasuwki były tak nieruchome, jakgdyby nigdy nie służyły do podobnego użytku.

Pobiegłem do drugiego okna, ale i tu czekało mnie podobne rozczarowanie. Wściekły i zaniepokojony, szarpnąłem całą siłą klamkę u drzwi. Nie poruszyła się nawet.

Cóż to wszystko znaczyć mogło?

Lękałem się, czy nie dostałem pomieszania zmysłów. Wtem drzwi znajdujące się w drugiej ścianie, ukryte za ciężkimi portyerami, otworzyły się bez szmeru, najmniejszego szmeru i w progu stanął służący w liberyi. Niósł na srebrnej tacy kompletną zastawę do śniadania, którą w milczeniu ustawił na stoliku. Była tam herbata, szynka, jaja na miękko, grzanki, masło i owoce.

Tak delikatnie przewidującym mógł być tylko mój przyjaciel Tharps. Myśl ta uspoiliła mnie cokolwiek i dodała odwagi. Nie mogłem sobie tylko wytłumaczyć, dlaczego w takim razie drzwi i okna pokoju były tak szczelnie zamknięte.

— Gdzież jestem — zapytałem służącego, który stał przedemną w służalczej postawie — i dlaczego te drzwi...

Urwałem nagle zdumiony.

Służący śledził uważnie poruszenie moich ust i wymownym gestem dotknął swojego ucha i warg.

Głuchoniemy! Miałem przed sobą głuchoniemego.

Szalona wściekłość ogarnęła mnie, a kiedy oprzytomniałem cokolwiek, służącego już w pokoju nie było! Już teraz nie wiedziałem, co sądzić o tem szczególnym wykradzeniu. Instynktownie rzuciłem się ku drzwiom ukrytym i pochwyciłem za klamkę. I te drzwi były zamknięte!

Zakląłem głośno i uczułem szaloną chęć niszczenia wszystkiego koło siebie. Pochwyciłem tacę z zastawą i już ją miałem zmiażdżyć o te przekłete drzwi, nie otwierające się przedemną — kiedy posłyszałem dyskretne pukanie, trzykrotnie powtórzone.

Był to zwykły sposób Tharpsa anonsowania się do mnie.

Czatowałem u progu, gotując się zwymyślać go porządnie za te drzwi, które były powodem tak silnego mojego zdenerwowania.

Kiedy je otworzył i ukazał się na progu, skończyłem do niego, krzycząc ze złością:

— Co ma znaczyć ta komedia, Wiliamie i dlaczego zadrwiono sobie w ten sposób ze mnie?

Tharps uśmiechnął się zyczliwie, co jeszcze bardziej spotęgowało moje rozdrażnienie.

— Czy nie zechcesz odpowiedzieć na moje pytanie? — zawołałem, postępując ku niemu.

Wiliam uśmiechnął się po raz drugi i flegmatycznie usiadł na kanapie.

— Czyżby ciój widok tak denerwował, Synhamie — odparł po chwili, powoli ważąc słowa — lub może niezadowolony się czujesz ze śniadania, jakie ci przed chwilą podano?

— Przestań żartować, proszę cię — rzekłem dobitnie — odpowiedź lepiej. Dlaczego te drzwi nie funkcjonują dla mnie specjalnie.

Tharps roześmiał się głośno.

— Bo nie umiałeś ich otworzyć, stary głupcze.

— Co? Co ty mówisz.

— Chodź, przekonam cię zaraz, że zachowujesz się względem mnie, jak dzieciak uparty.

Podszedł do drzwi i lekko nacisnął klamkę. Ku wielkiemu mojemu zdumieniu drzwi otworzyły się natychmiast.

— Co to ma znaczyć? Nic nie rozumiem! — zawołałem, cofając się ze zdumieniem. — Dlaczego ja tych drzwi otworzyć nie mogłem?

Bo nie byłeś obznajomiony z funkcjonowaniem tej klamki. Należy ją nacisnąć nieznacznie, następnie skrócić w lewą stronę. Oto cały sekret.

Uczułem się tak zawstydzony moim niewczesnym wybuchem, że nie śmiałem oczu podnieść na niego. Jakże ja mogłem nie wpaść na tak łatwą manipulację? Przecież już widziałem drzwi otwierające się w ten sposób. Musiałem być bardzo podniecony i wściekły, jeżeli nie wpadłem na tak łatwą kombinację.

Pobiegłem do drugich drzwi, lecz Tharps przeszkodził mi w wykonaniu mojego zamiaru.

— Nie fatyguj się na próżno. — zawołał — Tamte drzwi są naprawdę zamknięte i nie otworzą się tak prędko. Mogą się tylko otworzyć od wewnętrznej strony i to przy pomocy specjalnego klucza. System ten jest mi dobrze znany.

— I dlaczegoż te drzwi są zamknięte? — zapytałem niespokojnie.

— Bo jesteśmy więźniami — odpowiedział Tharps flegmatycznie, sadowiąc się wygodnie na fotelu.

Popatrzyłem na niego osłupiałym wzrokiem, nie wiedząc, czy żartuje ze mnie, czy też mówi na serio.

— Więźniami? Więc my jesteśmy tutaj więźniami? Jakże się to stać mogło? Czyż pomoc obiecwana przez ciebie nie nadeszła? Ten pseudo-markiz i jego wspólnik okazali się widocznie silniejsi od ciebie, Wiliamie?

— Mylisz się, mój kochany. Jesteśmy tutaj u Ludovica Marmonta. Ale ta wiadomość nie powinna źle działać na twój apetyt. Herbata twoja stygnie. Siadaj i zjedz śniadanie.

Poszedłem za jego radą i usiadłem przy stole. Tharps zaś umieścił się naprzeciw mnie i zaczął mi opowiadać całą historię.

Tak samo jak i ja, on i Huxley uczuli ciężkość i niemoc ogarniającą ich stopniowo. Tharps jednak okazał się z nas wszystkich najodporniejszy. Mógł jeszcze czas jakiś obserwować na nas symptomata tego szczególnego odrętwienia i odgadnąć jego przyczynę.

Rozpoznał więc, interesując się zawsze i studiując podobne objawy z punktu fachowego, że uspieni zostaliśmy zapomocą silnych narkotyków, rozpylonych po pokoju.

Doszedłszy do tej pewności i przekonawszy się, że walka lub jakiegokolwiek przeciwdziałanie w tym względzie jest niemożliwe — zrezygnowany położył się na podłodze obok nas i oczekiwał cierpliwie tego przymusowego uspienia.

— No, ale co potem się stało z tobą? Skąd się tu wzięłeś — zapytałem zaciekawiony.

— Przed godziną może obudziłem się tak samo, jak i ty, w pokoju identycznie podobnym do twojego, również niepewny, jak ty, co do miejscowości, gdzie się znajduję, nie widząc absolutnie nic, co się stało z tobą i Huxleyem.

— Ależ to zakrawa na bajkę! — zawołałem rozdrażniony. — Pomyśleć, że jesteśmy na łasce tych nędzników!

— Kiedy przebudziłem się — mówił dalej Tharps — wstałem i ubrałem się i zaledwie ukończyłem tę czynność, kiedy wszedł do pokoju służący, niosąc śniadanie. Śniadanie moje różniło się tylko od twojego dodaniem beefsteacku po angielsku. Widocznie Marmont musiał być dobrze poinformowany o moich przyzwyczajeniach i gustach. Ten szczegół właśnie naprowadził mnie na przypuszczenie, że jestem gościem mojego przeciwnika. Na stoliku zaś obok łóżka

znalazłem pudełko moich ulubionych papierosów „Muratti“.

— To są jeszcze słabe dowody — zauważyłem. — Może ty się mylisz, Wiliamie. Kto wie, czy nie znajdujemy się w gorszych jeszcze rękach.

Tharps przecząco potrząsnął głową.

— Nie mam żadnych wątpliwości pod tym względem, mój kochany. Gdybyśmy byli w innych rękach, tak, jak przypuszczasz, to nie siedziałbyś teraz tak wygodnie przy śniadaniu, rozmawiając ze mną. — Przypomnij sobie, że Ludovic Marmont nie zabija nigdy podstępnie swoich przeciwników.

— A jednak nie cofnął się przed zamordowaniem d'Orwalda — odpowiedziałem.

Tharps wypuścił z ust kłęb gęstego dymu i spojrzał na mnie poważnie.

— Co my o tem wiedzieć możemy — rzekł dobitnie. — Czy mamy pewność jaką?

— Jakto, co wiemy! — zawołałem z oburzeniem. — Ty chyba szalony jesteś, szalony, Wiliamie. Przecież to nikt inny nie mógł uczynić, tylko Marmont! Mogliśmy czas jakiś wątpić, że ten bandyta należał do tej sprawy, ale od wczoraj chyba mogliśmy nabrać pewności.

Chciałem dalej mówić, kiedy w tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — rzekł Tharps.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł służący, niosąc bilet na srebrnej tacy. Nie przemówiwszy ani słowa, złożył bilet na stole i cofnął się o kilka kroków, widocznie oczekując odpowiedzi.

Tharps przeczytał bilet i podał mi go.

Skreślone na nim były następujące słowa:

„Ludovic Marmont prosi panów Wiliama Tharpsa i Synhama o wybaczenie przymusowej gościny, narzuconej im i zapytuje, czy może mieć zaszczyt być przyjętym przez nich“.

Byłem oburzony do najwyższego stopnia! Tharps zaś uśmiechał się.

Wyjął z portfela bilet swój własny, skreślił na nim parę słów i położył na tacy. Służący podszedł natychmiast, zabrał tacę, kłaniając się głęboko i wyszedł z pokoju.

— Jaką mu dałeś odpowiedź, Wiliamie? — zapytałem.

— Bardzo krótką: „Oczekujemy pana“.

— Nie rozumiem cię, doprawdy — zachnąłem się. — Jaki masz cel w widzeniu się z tym człowiekiem?

— A dlaczegoż mam odmówić jego prośbie? — odparł Tharps. — Czy dlatego, że Ludovic Marmont jest chwilowo naszym zwycięzcą? Nie, nie, mój kochany, nie zgadzam się z tobą. On z nami zupełnie lojalnie postępuje. Inny na jego miejscu nie omieszkałby z całą pewnością wykorzystać tak dobrej sposobności i zabezpieczyć sobie na zawsze nasze milczenie i bezkarność. Ludovic Marmont jest dla nas niebezpiecznym przeciwnikiem, to wiemy, ale i my dla niego również.

— Zapewne — bąknąłem — na postępowanie jego względem nas skarżyć się nie możemy.

— Zważ jeszcze, Synhamie — przerwał mi Tharps, że on wie dobrze, iż wszystkie moje usiłowania i zręczność są skierowane do nieodwołalnego zgubienia go. Wie, że ścigać go będę aż do stóp gilotyny, aby pomścić społeczeństwo, przez niego tak długo krzywdzone, że między nami to walka na śmierć, wydana jawnie i otwarcie. A pomimo wszystko okazuje mi pewne szlachetne względy, zatrzymuje mnie tylko na czas pewien uwięzionego, w tym celu tylko, abym nie pokrzyżował jego dalszych planów. Zdaje mi się, że w tych warunkach postąpiłbym bardzo nieładnie, gdybym odmówił jego prośbie.

— Zapewne masz słuszość — odpowiedziałem. — Ale powiedz mi, Wiliamie, dlaczego tak cichym głosem odpowiedziałeś na pukanie służącego. Byłem pewny, że nie usłyszysz twojego wezwania.

— Zauważyłeś to — uśmiechnął się Tharps. — Wiedz o tem, że tu niepotrzeba wcale mówić głosem donośnym, aby być usłyszczanym.

Mówiąc to powstał i wskazał mi ręką dwa małe instrumenty, tak zręcznie osadzone w ścianie pokoju, że dotąd dostrzedz ich nie mogłem.

Były to dwa aparaty mikrofoniczne.

— Widzisz więc, że nasz gospodarz przedsięwziął wszelkie środki ostrożności.

W tej samej chwili dał się słyszeć w aparatach jakiś dźwięk metaliczny, jak gdyby kto je zamykał na zewnątrz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)